

Rozdział 3. Morskozielony

Rano zbudziło mnie jakieś pukanie do drzwi. Otworzyłam oczy i okazało się, że zasnęłam nad projektem, i niestety zrobiłam przez sam środek rysunku wielką, grubą kreskę. Zakląłam po szewsku i niespiesznie podeszłam do drzwi.

Otwieram, patrzę...

- O, a kim pan jest? - zapytałam zdeorientowanego przybysza. Był tak wysoki, że w pierwszej chwili moje oczy spoczęły na jego krawacie, a później dopiero spojrzałam mu w oczy.

- No, jak to?! - powiedziała Wiola, która wyszła żwawym krokiem z salonu. - To ten pan, co go wczoraj przyjęliśmy!

- Dzień dobry. Przepraszam panią najmocniej, że przeszkadzam... najwyraźniej w wypoczynku pani. Proszę pozwolić, że się przedstawię: Dariusz Zięba - rzekł i podał mi rękę.

Był bardzo przystojnym, młodym mężczyzną lat może dwudziestu sześciu i wzroście co najmniej... dwu metrów. Jego włosy były koloru złota wpadającego w rudy, a oczy jasne. Miał duży nos i ładne, kształtne dłonie. Zarost na jego twarzy czynił jego oblicze poważnym i podkreślał jego urodę. Był ubrany w jasnopopielaty garnitur, a pod szyją miał zawiązany błękitny krawat.

Podałam mu rękę. Przez chwilę zapomniałam, jak się nazywam i co tu robię. Przypomniałam sobie wczorajsze zachowanie Wiolki.

- Katarzyna Kowalska. Szefowa - podkreśliłam z naciskiem ostatnie słowo i zadarłam głowę tak wysoko, jak tylko się dało, aby dodać sobie choć kilka centymetrów wzrostu, bo miałam ich jedynie sto pięćdziesiąt siedem. Spodziewałam się, że to będzie zwykły uścisk dłoni, podczas gdy on po staroświecku ujął moją dłoń i ucałował swoimi gorącymi ustami. Serce podskoczyło mi do gardła, jakieś ciarki przeszły mi po dłoni i plecach. Natychmiast się wyprostowałam, zacisnęłam zęby i odstąpiłam o krok. Znałam dobrze to uczucie miękkich nóg i kołatanie serca. Przywołałam się natychmiast do porządku i przyjąłam postawę obronną.

- Istotnie, pańskie pukanie do drzwi obudziło mnie! Proszę na stanowisko pracy panie... Zięba. Praca czeka na pana na biurku. - Moja powściągliwa i jakże dobitna odpowiedź była przepełniona dystansem, który zdołałam w sobie wytworzyć w tempie ekspresowym. Niemal naprawdę powiało chłodem. Swym zwyczajem nie patrzyłam mu w oczy, gdy mówiłam, a było to bardzo łatwe, bo na wysokości wzroku rysowała mi się jego

szeroka klatka piersiowa. Podstawowa zasada obrony przed zakochaniem: *Nie patrzeć!*

„70% tego, co powoduje zakochanie, to właśnie kontakt wzrokowy, więc: NIE PATRZEĆ!”

- Tak o-oczywiście - zająknął się, a jego ciepły i niski głos nieco zapiszczał. Spojrzałam ukradkiem na jego twarz, tak z czystej ciekawości. Zbladł, był zestresowany i spłoszony.

„*Taki duży facet, a zachowuje się jak spłoszony młokos.*”

Popatrzył na mnie spode łba, z nieco pochyloną głową - wyglądał zupełnie jak dziecko, na które ktoś nakrzyczał. Dałam się podejść. Dopiero teraz dostrzegłam ten jakże piękny detal jego twarzy. Kolor jego oczu przypominał wody egzotycznych plaż o wyjątkowym zielononiebieskim odcieniu. Jego tęczęwki były po prostu niesamowite! Odplynęłam w ich głębie na chwilę dłużej, lecz później...

- No! Niech pan wejdzie! Pani szefowo, niech nam pani nie straszy nowego pracownika swoimi rozkazami, bo nam go pani wystraszy i ucieknie, a matematyka zaleje nas tą całą lawiną cyfr! - rzekła Wioletka, po czym wepchnęła go do środka, podczas gdy ja w błyskawicznym tempie przemieściłam się na miejsce, gdzie uprzednio stał. Zanim się zorientowałam, drzwi do biura zamknęły mi się przed nosem. Stałam jak wryta na korytarzu przez dobrą minutę, zanim się otrząsnęłam. Przeszłam od stanu całkowitej pustki do typowej *gonitwy myśli*. Fakty, wspomnienia i wyobrażenia zaczęły się kotłować w mojej głowie i biec w zastraszającym tempie. Pojawiały się coraz to nowsze i nowsze... Lęk i panika! „*Co mi się dzieje?!*”

Odwróciłam się i prędko udałam się do łazienki, a tam, zwykłym sobie porządkiem sprawy, przekręciłam klucz w zamku i podeszłam do umywalki. Wsparłam się na niej, aby utrzymać pion, i zajrzałam w lustro. Byłam czerwona jak burak, miałam worki pod oczami i wystraszone oczy, a na głowie miałam koszmarne nieład.

Dobrze znałam stan, w którym się teraz znajdowałam.

- Nie, znowu się zaczyna! - powiedziałam z zaciśniętą szczęką. Znowu dopadły mnie bóle brzucha, arytmia i trzęsące się ręce.

„*Nadchodzi kolejna miłostka, którą muszę zwalczyć. To już chyba koniec. Ostatni raz. Nie mam siły na więcej.*”

Wstrząsnął mną płacz, który zmusił mnie swoją intensywnością do przyjęcia pozycji siedzącego embrionu. Znów działo się coś, nad czym nie potrafiłam zapanować. Dariusz Zięba spodobał mi się i to koszmarne

bardzo. Nie mogłam na to pozwolić. Musiałam jakoś funkcjonować! A każde kolejne zakochanie robiło mi z serca sieczkę. Nie mogłam zawieść klientów i innych ludzi swoim zachowaniem, niekompetencją i wybrakowaniem. Nie mogłam od tak załamać się z powodu jakiejś kolejnej nieodwzajemnionej miłości, która zawisała nade mną niczym topór na głowę. Otarłam łzy i powstrzymałam się przed oplakiwaniem mojej kolejnej klęski uczuciowej, która rysowała się na moim horyzoncie. Bo niby dlaczego ktoś miałby mnie w końcu pokochać z wzajemnością?! Umyłam się pobieżnie, przebrałam w czyste ubranie, które trzymałam od dawna w łazienkowej szafce na ręczniki. Poprawiłam swój babciny kok, po czym spojrzałam sobie w oczy, w lustrze. „Musisz dać radę, Kaśka!” Opuściłam łazienkę i udałam się do kuchni. W chwili, gdy naciskałam klamkę, byłam już znowu tą samą słabą istotą, bojącą się kochać.

Nie tknęłam nic z tego, co pieczołowicie przygotowała mi Jola. Moje usta pamiętały ze śniadania tylko smak kropli walerianowych, popitych herbatką z melisy. Jola coś do mnie mówiła, ale ja jej nie słuchałam. Byłam w innym świecie.

„Jego morskozielone oczy...”

Odpywałam co pewien czas w głębię tych oczu, dokładnie utrwaloną w moich myślach. Natychmiast jednak starałam się to zwalczać i wypierać z siebie ten obraz, byle tylko nie dopuścić jakiegokolwiek zachwytu nad kimś, kogo widziałam po raz pierwszy w swoim życiu. W ten sposób walczyłam z samą sobą już niejedną raz. Takie wypieranie uczuć pociągało zazwyczaj za sobą nieuniknione konsekwencje w postaci stanu stępienia umysłowego i bólu głowy – zupełnie, jak gdybym wyrывała z ziemi zalążki jakiegoś roślinnego pasożyta, z tym że metaforyczną ziemią był mój mózg, a pasożytem niepowołane uczucie.

Po dawce uspokajaczy zaczęłam się powoli wyciszać. Moje niezawodne specjały zadziałały. Napięte mięśnie powoli się rozluźniały, myśli zwalniały... W stanie pół otępienia podniosłam się z krzesła i wyszłam z kuchni. Przemierzyłam korytarz niczym bezkres oceanu *jego oczu* i stanęłam pod drzwiami. Nacisnęłam klamkę, a czas jakby zwolnił. Weszłam. Głowa w dół, po szybkim zerknięciu na pogląd sytuacyjny, podejście do biurka.

Siedzieli już na swoich miejscach. Ona była pochylona nad projektem, on spoglądał na mnie ukradkiem – ciągle tak samo blady jak na początku – i przeglądał dokumenty. Pochyliłam się nad moim biurkiem. Na projekcie ogrodu zimowego widniała długa, gruba krecha.

Przetarłam oczy i usiadłam na fotelu. Ze swojego przybornika wyciągnęłam gumkę chlebową do mazania. Po chwili rozpoczęłam żmudną pracę nad likwidowaniem usterki. Przed oczyma wszystko mi się zlewało, rozmazywało, drgało... Byłam niemal nieprzytomna po tych ziółkach. I gdy już zaczynałam odpływać w słodki niebyt, usłyszałam:

- Przepraszam. Czy dobrze się pani czuje? - Odezwał się głos tego *demon*a, który przybył do mojego domu, aby mnie dobić. Otrząsnęłam się i spojrzałam na niego. Miał zatroskaną twarz. Później odkryłam, że moja ręka wykonała niekontrolowany ruch, robiąc kolejną niepotrzebną kreskę na moim starannie nakreślonym projekcie.

- Cholera, znowu - burknęłam pod nosem. - Wszystko jest w najlepszym porządku, panie Zięba. Proszę wracać do pracy - odpowiedziałam oschle. Po chwili urwał mi się film...

Śniły mi się ogromne morskozielone oczy. Spałam chyba całe wieki. Coś wciągało mnie w ciemną przepaść. Spadałam, spadałam, spadałam... Otwieram oczy, patrzę i widzę kogoś siedzącego obok mnie, na krześle. Leżę na sofie z nogami do góry, przykryta kocem, a na czole mam coś zimnego i mokrego. Postać siedząca podtrzymuje mi to zimne coś na czole. Obraz nieco zamazany.

- Halo! Proszę pani! Słyszysz mnie pani?! - Znowu głos tego *demon*a.

Z mojego gardła wydobyło się kilka niekontrolowanych, niewyraźnych słów. Miałam tak zaciśniętą szczękę, że nie sposób było jej otworzyć, a bolała paskudnie.

- Zaraz będzie lekarz i panią zbada - powiedział ciepłym, niskim głosem. Obraz wyostrzył mi się. Zobaczyłam znowu jego oczy i pomyślałam:

„*Jak ktoś może mieć oczy tak cudnego koloru!*” Zaraz później wzdrygnęłam się, przestraszona moimi myślami.

Dotknął dłonią mojego policzka.

- Ależ ma pani gorączkę.

Miał tak zimną dłoń, że drgnęłam.

- Zimna, co? - Uśmiechnął się wyrozumiale, a ja uwiesiłam swój wzrok na chwilę zbyt długo na jego kuszących ustach.

- Jest już lekarz - usłyszałam głos Romka, co przywołało mnie do porządku. Okazało się, że stał przy oknie, w pokoju. Oni wszyscy tam byli: Franek, Jola, Wiola i Roman.

„*Ale dlaczego to akurat on, u licha, siedzi przy mnie?! Przecież mogłyby przy mnie równie dobrze siedzieć Wiola albo Jola! Zaraz go pogryzę! Och, niech już sobie pójdzie i mnie nie męczy!*” Miotałam się pomiędzy zachwytem i niechęcią.

- Dzień dobry państwu! Gdzie ta nasza pacjentka? - flegmatycznie powiedział sześćdziesięcioletni pan doktor, który chwilę później zjawił się tuż obok mnie w swoim białym kitlu. Jego czujny, mądry wzrok zaczął mnie dokładnie „prześwietlać”, podczas gdy krew buzowała we mnie z powodu bliskości pana Zięby.

„Nie patrzeć! Nie czuć!” - nakazywałam sobie, uparcie wpatrując się w obojętny mi emocjonalnie sufit. Zamknęłam oczy, aby nie widzieć Go choćby kątem oka.

- Ja nie chcę... - wymamrotały moje usta. Zdziwiłam się, że to powiedziałam. Nie panowałam nad sobą w stu procentach. Postanowiłam prawie nic nie mówić.

- Czego pani nie może? Coś panią boli? - Doktor zajął miejsce, które zwolnił pan Zięba. - Co się stało? Pamięta coś pani?

Pokiwałam głową na znak, że nie wiem, co się stało. Co miałam im powiedzieć? „Zobaczyłam jego wielkie gaty za moimi drzwiami dziś rano i od razu się zakochałam?! Wzięłam końską dawkę ziółek na uspokojenie i zasnęłam za biurkiem?! Za nic w świecie im tego nie powiem!”

- Może ja opowiem - zaproponował *demon*.

- Dobrze, ale najpierw niech państwo opuszczą pokój, bo zabierają jej państwo powietrze. Pan zostanie i mi opowie - zarządził lekarz. Rozkaz wykonano niezwłocznie.

Pan Zięba stanął obok doktora w zasięgu mojego wzroku i po chwili znów rozległ się jego upajający moje uszy głos.

- Siedzieliśmy tutaj z Wiolettą, gdy do pokoju chwiejnym krokiem weszła pani... szefowa. Od razu zauważyłem, że coś z nią nie tak. Rozpalona - tak jak teraz, oczy jej lśniły. Pewnie już wtedy miała gorączkę. Pani Jola zmierzyła jej temperaturę i wyszedł stan podgorączkowy... Pamiętam, że szefowa usiadła za biurkiem i po chwili zajęła się pracą. Zauważyłem, że przysypia i zapytałem, czy się dobrze czuje. Odpowiedziała, że tak, ale zemdląca.

„ZEMDLAŁA Och! Jak ja nienawidzę tego słowa!” - pomyślałam.

- Podbiegłem do niej i wziąłem na ręce. Położyłem tu i dałem jej pod nogi taboret, aby przywrócić jej krążenie. Wioletta przyniosła zimny okład i zadzwoniła po pana. - Zadowolony z siebie, po zamaszystej gestykulacji, uśmiechnął się do mnie troskliwie.

„Gdybym mogła cię własnoręcznie udusić! Przerwać tą twoją relację... Gdybym mogła zabić cię spojrzeniem! Nie patrzeć!” - walczyłam ze sobą i starałam się nie uwidaczniać sekretów swojego wewnętrznego dialogu. Musiałam go prędko znienawidzić, żeby nie czuć w stosunku do niego tego

szkodliwego i bezsensownego przyciągania. Spojrzałam na doktora zaraz po tym, jak przypomniałam sobie, czego mam nie robić.

- Zaraz panią obadamy. - Wyciągnął ciśnieniomierz i zaczęła się seria badań. - A! Najpierw pulsik sobie sprawdzimy... Słabiutki. Teraz ciśnienie... Niskie i to bardzo. Teraz osłuchamy płucka i serduszko. A cóż to za arytmia?! - komentował, gdy wykonywał kolejne czynności. Ja tylko starałam się nie patrzeć na intruza i zubożnąć w stosunku do niego wszystkie moje emocje. Jakoś nie bardzo szło mi wymuszanie na sobie niechęci do tak miłego i troskliwego mężczyzny. Wtedy nagle doktor złapał trop: - Coś dziś pani jadła?

- Nie pamiętam. Jola mi coś podała, ale ja nie pamiętam co. - Naprawdę tego wtedy nie pamiętałam. Mimowolnie zerknęłam na obcego. Ten *demon* przez cały czas na mnie patrzył i pocierał swoją krótką, złocistą brodę kciukiem, jakby coś sobie kalkulował w tej swojej matematycznej głowie.

- Proszę mi tą panią Jolę zawołać - rozkazał doktor.

- Już się robi! - Odparł uczynny *demon* znikł, po czym wrócił z nią.

- Słucham, panie doktorze. - W jej głosie wyczuwało się niepewność. Była blada i zaniepokojona.

- Co pani podawała tej oto młodej damie na śniadanie? - Faktycznie, w stosunku do jego wieku ja byłam jeszcze dość młoda. Pan doktor był blisko emerytury, więc świetnie pasował na stanowisko mojego lekarza pierwszego kontaktu.

- Ona nic nie zjadła, panie doktorze - poskarżyła się Jola.

Pan Zięba uniósł brwi w geście zdziwienia, jakby od razu uznał moje postępowanie za niemądre.

- No, za wyjątkiem może tych kropli walerianowych i melisy do picia - wyjawiała niechcący mój sekret. - Tak, to nie spożyła niczego. Nic a nic. Doktor szybko domyślił się, o co chodzi.

- W takim razie... mamy tu chyba do czynienia z nerwicą. Tak? - Wlepił we mnie pytające, wszechwiedzące spojrzenie.

- Coś... w tym stylu - wyjaśniłam pobieżnie.

- No tak. Spożyła pani zioła uspokajające na głodny żołądek i to tak panią osłabiło. Ciśnienie spadło. Ale skąd te nerwy i gorączka? - Zmarszczył brew. - Ma pani jakieś problemy, długotrwały stres?

- Mam stresującą, odpowiedzialną pracę. - Musiałam się jakoś ratować, choć była w tym prawda. Nie to jednak wprowadziło mnie w taki stan emocjonalno-cielesny, balansujący na pograniczu szaleństwa i utraty kontroli nad sobą. Po co ktoś miał wiedzieć, że w mojej pokręconej głowie

trwała zacięta walka emocji, która powodowała u mnie gorączkę i osłabienie.

- Rozumiem. Czy jest pani pod kontrolą specjalisty?

- Nie - skłamałam ze względu na obecność intruza, choć i tak poznał już mój słaby punkt: emocje, słabość psychiczna, niezrównoważenie.

- Może warto by było jednak odwiedzić psychologa lub psychiatrę. - Wzruszyłam ramionami. Doktor widział, że niechętnie podejmuję ten temat, więc po chwili dodał: - Mogą nas państwo zostawić sam na sam? Muszę porozmawiać z pacjentką w cztery oczy.

Bałam się popatrzeć w oczy panu Ziębie. Przypuszczałam, że zobaczę w nich potępienie. Spojrzałam tylko na jego dłonie, a ten prędko schował je do kieszeni, po czym wyszedł razem z Jolą.

- Teraz może pani mówić swobodnie. Niech mnie pani potraktuje jak spowiednika.

Westchnęłam i postanowiłam powiedzieć prawdę. Doktorek wyglądał całkiem sympatycznie i dobrze patrzyło mu z oczu. Ostatnio widziałam go jakies pół roku temu, ale niezbyt wiele się zmienił.

- Chodzę do psychiatry po leki na uspokojenie i czasem antydepresyjne, ale nie psychotropowe! - Podkreśliłam ostatnie słowo. - Wszystko to przez to, że jestem mocno przewrażliwiona i... jak mi się wydaje, reaguję trzy razy mocniej niż przeciętny człowiek.

- Ach! Czyli się pani po prostu zdenerwowała i zemdlała. Tak?

- Tak - skłamałam. Przecież ten staruszek by mnie nie zrozumiał, a już zwłaszcza zawiłości mojego życia prawie miłosnego.

- A z tą pracą nie da się nic zrobić? Jakiś urlopik?

- Zrobię sobie wolne, panie doktorze, ale tylko kilka dni. Mam masę roboty - zbywałam go. „*I tak nie będziesz wiedział, co robię w domu, doktorku!*” - zaśmiałam się w duchu. Tylko praca trzymała mnie w pionie, zwłaszcza teraz, gdy dopadł mnie stan emocjonalnej nierównowagi.

- Bardzo wskazane, droga pani. Bardzo wskazane - mówił powoli i dumął jednocześnie. - A co dokładnie pani zażywa i w jakich ilościach?

- Biorę najmniejszą dawkę antydepresantów. Na jesień lekarz zwiększa mi ją do dwóch tabletek dziennie.

- A psychoterapia? - Poprawił okulary na swoim nosie.

- Najlepszą psychoterapią dla mnie jest praca i niemyślenie o problemach.

- Ach! Rozumiem. Ale będzie lepiej, jeśli opowie pani o tym omdleniu swojemu lekarzowi psychiatrze.

- Dobrze.

„Dobrze, że ten Zięba nie słyszał naszej rozmowy. Po co ktoś miał wiedzieć, co się ze mną dzieje? I tak by nie zrozumiał, bo nie jest w mojej skórze. Tego nie zrozumie nikt, kto tego nie przeżył” – podsumowałam całą sytuację z ciężkim sercem. Lekarz pożegnał się, zalecił spokój i regularne spożywanie posiłków. Zostałam w końcu sam na sam ze swoim strachem przed zakochaniem. Powoli pozbierałam się i wstałam, aby rozprostować kości. W tej chwili do gabinetu weszła Jola.

– Zaczekaj dziecko! Pomogę ci.

Podeszła do mnie prędko i ujęła mnie pod rękę.

– Zaprowadź mnie, proszę, na górę.

– Dobrze.

Wyszliśmy na korytarz i ominęliśmy rozgadany salon, w którym toczyła się jakaś bardzo zacięta dyskusja na tematy związane z polityką. Ulżyło mi, że nie muszę więcej pokazywać się publicznie jako ofiara losu. Na szczęście nie zobaczyłam także i sprawcy mojego stanu. W peny momencie, gdy byliśmy już na górze, złapałam się na tęsknym spojrzeniu w stronę schodów. „Nie, nie poszedł za tobą.” – syknęła moja wredna podświadomość. „Nigdy za tobą nie pójdzie.”

Cały dzień spędziłam w swoim pokoju, w łóżku. Była to dla mnie męka, jednak szybko doszłam do wniosku, że nieporównywalnie większą męką byłoby cały dzień szarpać się w biurze, wewnątrz siebie i uważać, aby na Niego nie patrzeć. Tu przynajmniej miałam spokój i mogłam pomyśleć. Nieskutecznie oddalałam od siebie o dzisiejszej sytuacji i jej powodzie. Powód miał dwa metry wysokości, kuszący uśmiech i śliczne oczy. Ale to byłoby niczym, gdyby nie okazał się taki szarmancki, pomocny i troskliwy. „Nie Kaśka! Musisz z tym skończyć raz na zawsze!” Włączyłam laptopa, puścić moją ulubioną telenowelę na internetowym kanale filmowym. To zawsze jakoś odciągało mnie od idiotycznych miłostek. Dziesięć odcinków serialu tak sprąło mi mózg, że postanowiłam się przespać. Jola zadbała o moje wyżywienie, więc nie musiałam nawet wyściubiać nosa z mojej nory. Przy kolacji Jola zapytała mnie:

– Czy mogę powiedzieć temu nowemu, że czujesz się już lepiej? Pytał się biedaczek.

Siekło mnie w sam środek serca.

– Nie! – warknęłam zimno. – Nic mu do tego!

– Dobrze Kasieńko, dobrze.

Jola opuściła mój pokój zasmucona. Zostałam sam na sam ze słowami, które gnębiły mnie do późnych godzin nocnych. *„Przejął się mną.”*

